

**Małgorzata Gucewicz (w pelerynie),
Michał Ziółkowski, Grażyna Cesarczyk i Małgorzata Szmidt**

wie ze stołeczną Akademią Muzyczną. Współpraca ta podjęta była przed laty i zaowocowała wtedy wystawieniem przez studentów A.M. „Xerxes” Haendla na Scenie Kameralnej Teatru Wielkiego, pomocą w wyjazdach tego studenckiego zespołu za granicę. Również na scenie głównej Teatru Wielkiego w studyjnym przedstawieniu „Dam i huzarów” młodzi aktorzy – wokaliści zdobywali doświadczenie we współpracy z orkiestrą studentów, dyrygowaną przez studenta Wydziału Dyrygentury Akademii. Po tym przygotowaniu ze stanowisk adeptów zostali solistami Jolanta Czyż-Major, Ewa Gawrońska, Izabela Kłosińska, Elżbieta Pańko, Ryszard Cieśla, Ryszard Morka, Ryszard Bednarek, Krzysztof Szmyt, Piotr Wnukowski, Marek Wojciechowski.

Współpraca ta urwała się przed kilku laty z powodu zmian organizacyjnych obydwu instytucji. Dzięki uporowi i zaangażowaniu pani Alicji Dankowskiej, która jest dziekanem Wydziału Wokalno-Aktorskiego oraz zrozumieniu problemu przez obecną dyrektorkę Teatru Wielkiego w osobach Roberta Satanowskiego i Bolesława Jankowskiego ta słuszną sprawą została podjęta na nowo w korzystniejszej formie.

Od 1 marca 20 studentów V i IV roku Wydziału Wokalno-Aktorskiego zaangażowano na podstawie umowy na okres roku (V rok) i dwóch lat (IV rok – do dyplomu) do zespołu Teatru Wielkiego. Jest to ewenement chyba na skalę światową, by 1/5 zespołu solistów jakiegoś teatru muzycznego stanowili ludzie przed dyplomem. Dyrektor Robert Satanowski wykazał swoją zgodą wielką dalekowzroczność oraz „wielkoduszność” wobec przyszłej kultury muzycznej, podejmując trudny szlifowania takiej dużej grupy młodych ludzi, z których tylko część pozostanie w stołecznej operze, reszta na pewno znajdzie szybko miejsce w innych teatrach muzycznych. Zapotrzebowanie na młodych śpiewaków

„tak zahartowanych” jest duże. Póki co dwudziestce będą powierzane na serio różne zadania artystyczne. Pierwszą premierą w ramach obecnej współpracy była 29 IV br. „La verita in cimento” Vivaldiego, studyjny spektakl Akademii Muzycznej w Teatrze Wielkim przygotowywany pod kierownictwem muzycznym Mieczysława Nowakowskiego, w reżyserii Andrzeja Żarneckiego, w scenografii Barbary Jankowskiej. Jest to odtworzenie poprzedniego przedstawienia w nowej obsadzie. W lipcu br. będzie wystawiona opera dla dzieci i młodzieży „Paziowie królowej Marysieńki” Dunińskiego, w której niezależnie od solistów Teatru Wielkiego adepci występują w dwóch pełnych obsadach. Będą to Joanna Kubaszewska, Małgorzata Szmidt, Teresa Borowczyk, Małgorzata Gucewicz, Grażyna Szarek, Grażyna Cesarczyk, Kinga Mitrowska, Agnieszka Dąbrowska, Lidia Jabłońska, Agnieszka Kurowska, Ewa Minikowska, Kamil Drabik, Marek Ptak, Jacek Parol, Andrzej Zagdański, Michał Ziółkowski. Jest to duża szansa dla młodych i większość wykorzystuje ją w pełni, poza swoimi próbami siedząc w Teatrze prawie stale, przylgając się do innych prób, podpatrując starszych doświadczonych kolegów artystów, robiąc notatki na partyturach itd. Oczywiście, że są czasem problemy, bo młodzi to często duże indywidualności, a dostosowywanie się do wymogów pracy solisty, ale w zespole, dbałość o kondycję psychiczną i fizyczną przychodzi często z trudem i wymaga współpracy obydwu stron, tzn. dyrekcji Teatru Wielkiego i studentów.

Chwała Teatrowi Wielkiemu za podjęcie tak ważkiej sprawy.

Wszystkie zdjęcia z prób do przedstawienia „La verita in cimento” Vivaldiego

IRENA DŁUGOSZ

SKICH

Ludwika Jędrzejewiczowa malarz Teofil Kwiatkowski ilość mebli i pomniejszych azem fanatyczna wielbicielka Wilhelmina Stirling. Nie nie siostrze muzyka. Obok kolekcję pamiątek posiadał a, późniejszy wydawca po-Ciekawy zbiór szkiców mu-nego przyjaciela polskiego gusta Franchomme. Cenne zeń Chopina, pianista Thogromadziła księżna Marceym koligacją drogocenne kolejnych spadkobierców. zproszenu, z czasem po-

y Instytut Fryderyka Chopi-pią działalność muzealną, w handlu antykwarecznym pakładów finansowych po-zogólnych eksponatów, po-ennych rękopisów muzycz-zliwe stosunki łączą Towa-i antykwarecznymi Hansa argardt w Marburgu. Wiele : na aukcjach antykwarecz-ewie. Kolekcję dodatkowo yty osób prywatnych. Ofia-dy innymi Artur Rubinsteski, Arthur Hedley, Roman

kolekcja stanowi jedynie onowane chopiniana w sta-ódeł. Należały one w prze-o siostr, Juliana Fontany, Sand i Teofila Kwiatkow-a parterze oraz w salonie o w gablotach prawdziwe ych przedmiotów posiada

odmienne dzieje. Na ogół przechowywany jako drogocenna relikwia, dziedziczony przez kolejnych członków rodziny przechodził z pokolenia na pokolenie. Jednakże bardzo często zanim spokojnie spoczęły w gablocie, pamiątki po kompozytorze trafiały na antykwareczne aukcje, podlegając burzliwym licytaczom. Obok oryginalnych przedmiotów na wystawie eksponowane są portrety Fryderyka Chopina. Niektóre z nich, jak na przykład szkicowany przez Elizę Radziwiłłównę portret muzyka czy akwarelowe rysunki Teofila Kwiatkowskiego posiadają wartość dokumentu.

Oglądając te krucho i delikatne przedmioty mamy świadomość, że tylko dzięki troskliwej opiece kilku generacji, którym bliska była pamięć kompozytora, nie zostały one dotknięte niszczycielską działalnością czasu. Przecież tak wiele pamiątek po artyście zaginęło w burzach dziejowych. W roku 1863 w wyniku carskich represji za zamach na generała Teodora Berga zniszczony został fortepian Chopina, o którym tak dramatycznie pisał w swoim wierszu Cyprian Kamil Norwid. Niektóre meble po kompozytorze spłonęły podczas ostatniej wojny w czasie obrony Warszawy.

W wyścielanych aksamitem gablotach leżą obok siebie szkice utworów muzycznych, listy do znajomych, stare fotografie, fragmenty korespondencji rodziny artysty. Z tych załamanych pożółkłych kartek, naznaczonych piętnem mijającego czasu, odczytujemy wiele znanych utworów oraz słowa skierowane przed laty do przyjaciół. Każdy z tych niepozornych przedmiotów, bilet wizytowy, spodek pod filiżanki, z której u książąt Czartoryskich artysta pił kakao, złote guziki do gorsu czy modlitewnik naznaczony jest intymną bliskością osoby Chopina. Drobne rzeczy, w które przez całe życie obrastamy stają się w pewnym momencie częścią nas samych. I może dlatego oglądając zgromadzone w gablotach pamiątki po kompozytorze doświadczamy tajemniczego zbliżenia, wręcz niewytłumaczalnego wrażenia obecności jego osoby. Przenosimy się w duchu ponad czasem, który minął od chwili, gdy artysta naszkicował pierwsze takt nowego utworu i dokonał kolejnego wpisu w swym kalendarzyku. Eksponowane w Zamku Ostrogskich, często wrażliwe na działanie światła, drogocenne przedmioty opuściły na dwa tygodnie archiwa i futewały, by przybliżyć współczesnemu widzowi osobę i twórczość kompozytora w nowy odmienny sposób.

KRYSTYNA S. MOISAN

MAGDALENA PAWLICKA

ZBRODZIA BEZ KARY

Zdjęcia: RENATA PAJCHEL

– O czym mówi „Balladyna”? – „Balladyna”, panie profesorze, mówi o mechanizmach władzy. – Bardzo dobrze. Co jeszcze jest w „Balladynie”? – Jeszcze, panie profesorze, jest w „Balladynie” ulotny czar poezji. – Bardzo dobrze. Dlaczego kochamy „Balladynę”? – Balladyno, panie profesorze, nie kochamy, kochamy Alinę.

Ano właśnie. Tak wyglądać by mogła lekcja w szkole współczesnego profesora Pimki. „Balladynę” się w szkołach „przerabia” (nomen omen) i najczęściej na jej przykładzie nauczyciele usiłują wytłumaczyć dzieciom co to takiego Romantyzm i dlaczego kochamy Juliusza Słowackiego. A żeby dziatwa lepiej pojęła, troskliwe grono pedagogiczne wiedzie ją do teatru.

Przed dziesięciu laty dziatwa biegła do Narodowego na „Balladynę” Hanuszkiewicz (nie mylić z „Balladyną” Słowackiego) i radości miała z tego biegania co niemiara. Teraz pokaznymi stadkami gna do Rozmaitości, a ponieważ tu rzecz jest raczej poważna, dziatwa dokazuje i zaśmiewa się w dowolnie wybranych momentach. A to nie z winy samej dziatwy, ani, broń Boże, aktorów. Dzieje się tak i dziać będzie dotąd, dokąd teatry stosować będą politykę organizowania publiczności rozumianą jako wyprzedawanie na wiele miesięcy naprzód całej widowni szkole lub przedszkolu. Niechże dzieci chodzą do teatru, ale nie wszystkie naraz, nie całą czeredą, niech przemierzają się z dorosłą widownią. Będzie to z korzyścią dla wszystkich.

Reżyser „Balladyny” w Teatrze Rozmaitości – Andrzej Maria Marczewski, podobnie jak niegdyś Hanuszkiewicz, nie zaufał Słowackiemu. Nie uwierzył, że sam tekst owej dramatycznej opowieści z pogranicza świata realnego i baśniowego jest tekstem żywym, że może przyciągnąć i utrzymać uwagę współczesnego widza zdeprawowanego cywilizacją. Hanuszkiewicz usiłował ratować „Balladynę” hondami, Marczewski między innymi siatkami rozpiętymi nad głowami widzów. Wydawać by się mogło, że po Goplanie, Skierce i Chochliku na ryjących motocyklach, niewiele nas już może zaskoczyć, niewiele już tryskających pomysłami inscenizator może w „Balladynie” zwojować, by dzisiejsza publiczność uwierzyła choć na krótką teatralną chwilę w niematerialne zjawy pana Słowackiego.

Tymczasem – może. Otóż winny one pisać właśnie na rozwieszonych ponad głowami publiczności siatce. I – o dziwo – tym razem „pomysł” nie razi. Więcej nawet, sprawdza się w ciągu przedstawienia wielokrotnie, pozwala na brawurowe rozegranie scen Goplany, stwarza podwójny plan akcji, podwójny świat.

To jednak nie wszystkie reżyserskie zabiegi. Andrzej Maria Marczewski przepowiada katastrofę. Ma obsesję kataklizmu. Po apokaliptycznej wizji w finale „Dwóch teatrów”, apokaliptyczny kataklizm rozpoczyna przedstawienie „Balladyny”. Ruiny i zgłiszczą, oprawcy i ofiary, świat żyje od kataklizmu do kataklizmu, a w przerwach ludzie zabijają się w walce o władzę. Pantomimiczno-muzyczny prolog spektaklu ma się nijak do treści przedstawienia, albo raczej – paralele są mocno naciągane. Zautomatyzowani

oprawcy sięgają zniszczenie i cierpienie, ofiary bezradnie czołgają się po ziemi. Chodziło zapewne o zobrazowanie zła panoszącego się w naszym świecie, także więc w świecie „Balladyny”. Niesłusznie. Zło tkwi w ludzkich sercach. I tak pokazane oddziaływanie najsilniej, jest najgroźniejsze.

Nie zaufał Słowackiemu scenograf Jerzy Michalak, umieszczając akcję na zapleczu sklepu spożywczego, w obskurnym składzie drewnianych skrzynek. Przestrzeń sceniczną ograniczają sterty brudnych, borych desek, na brudno-burym tle. Jest jeszcze w przedstawieniu ruchoma ściana, podnosząca się i opadająca wielokrotnie, by zmienić – zależnie od kąta nachylenia – las w chatę, chatę w pałac. Szkoda, że ten interesujący pomysł nie został konsekwentnie wykorzystany, bowiem właściwie chata Wdowy niewiele różni się od pałacowych komnat.

Zaufali natomiast „Balladynie” aktorzy. Przygotowano dwie obsady. Wiedziałam Barbarę Dembińską (Balladynę), Annę Lenartowicz (Alinę), Barbarę Rachwańską (Wdowę), Wojciecha Pastuszkę (Kirkora), Jerzego Mazurę (Kostryn), Jana Jurewicza (Grabiec), Tadeusza Grabowskiego (Pustelnik), Małgorzatę Ząbkowską (Goplanę), Józefa Fryźlewicza (Kancelerz). Mam ochotę wymienić cały zespół, gdyż cały zasługuje na słowa uznania. Rzecz by można – przedstawienie opiera się na dobrej aktorskiej robocie. W swej prostocie jest niemal ascetyczna, ma swój nieodparty urok. Nie byłoby tej „Balladyny” bez Balladyny. Otóż w Teatrze Rozmaitości jest Balladyna. Balladyna, w której oczach palą się piekielne iskierki. Balladyna wielka i władca, o sercu kamiennym i stalowych nerwach. Balladyna – mały człowiek opętany przez zło. Barbara Dembińska doskonale radzi sobie z arcytrudną rolą, na której rozkładały się znakomite aktorki. Jest piękna i zimna, odrażająca w swej obojętnej nieważności, ludzka w swym strachu, w swej podłości.

Po tylu krytycznych uwagach i zastrzeżeniach dojść zatem wypada do wniosku, iż w Rozmaitościach po prologu zaczyna się bardzo dobre przedstawienie, mimo scenografii, mimo inscenizatorskich potknięć. Marczewski ma wyczucie teatralności, potrafi kreować urzekające wizje (jak choćby scena uczty), umiejętnie operuje światłem, muzyką. Umie stwarzać nastrój. Gorzej, gdy zaczyna dopisywać swój dramat.

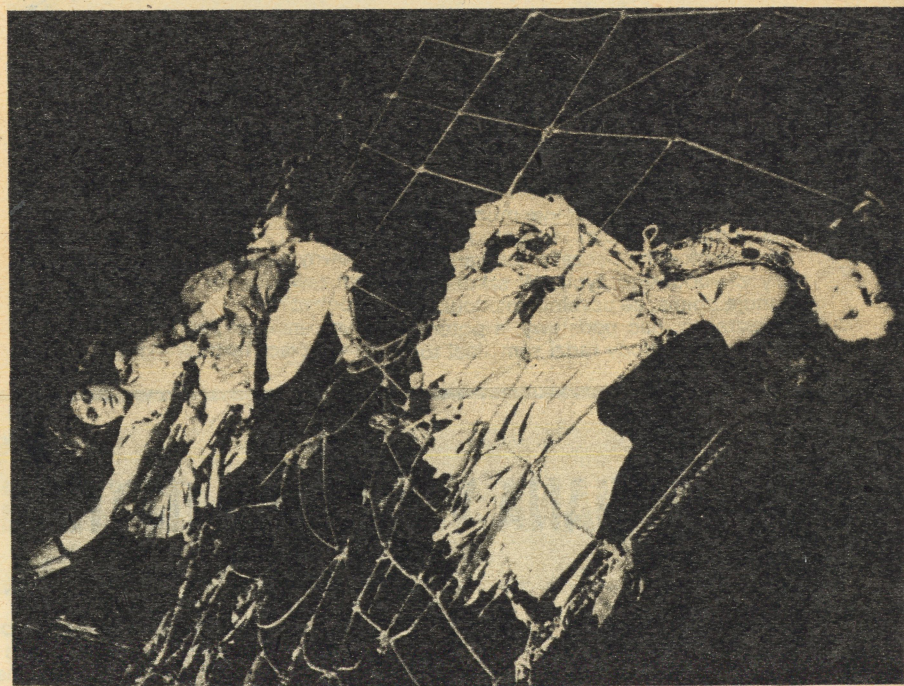
Muszę być jednak niekonsekwentna. Moja własna ortodoksja obraca się przeciw mnie. Bowiem kończy się „Balladyna” inaczej niż u Słowackiego, i jest to zakończenie wstrząsające. Balladyna nie umiera. Nie strzela grom. Balladyna wydaje na siebie trzy wyroki śmierci. I pozostaje przy życiu równie niewzruszona jak wtedy, gdy popełniała zbrodnie. Zło nie zostaje ukarane, króluje nadal. Jest wokół nas, może i w naszych sercach.

Teatr Rozmaitości: BALLADYNA Juliusza Słowackiego, inscenizacja i reżyseria – Andrzej Maria Marczewski, współpraca reżyserska i plastyka ruchu scenicznego – Jerzy Stępiak, scenografia – Jerzy Michalak, muzyka – Tadeusz Woźniak



Tadeusz Grabowski (Pustelnik) i Barbara Dembińska (Balladyna)

Jadwiga Andrzejewska (Skierka) i Małgorzata Ząbkowska (Goplaną)



Scena uczty. Na pierwszym planie: Wojciech Oseko (Chochlik) i Jadwiga Andrzejewska (Skierka)



MAGDALENA PAWLICKA

ZBRODZIA BEZ KARY

Zdjęcia: RENATA PAJCHEL

– O czym mówi „Balladyna”? – „Balladyna”, panie profesorze, mówi o mechanizmach władzy. – Bardzo dobrze. Co jeszcze jest w „Balladynie”? – Jeszcze, panie profesorze, jest w „Balladynie” ulotny czar poezji. – Bardzo dobrze. Dlaczego kochamy „Balladynę”? – Balladyna, panie profesorze, nie kochamy, kochamy Alinę.

Ano właśnie. Tak wyglądać by mogła lekcja w szkole współczesnego profesora Pimki. „Balladynę” się w szkołach „przerabia” (nomen omen) i najczęściej na jej przykładzie nauczyciele usiłują wytłumaczyć uczniom co to takiego Romantyzm i dlaczego kochamy Juliusza Słowackiego. A żeby działo się lepiej pojęta, troskliwie grono pedagogiczne wiedzie ją do teatru.

Przed dziesięciu laty działo się biegła do Narodowego na „Balladynę” Hanuszkiewicz (nie mylić z „Balladyną” Słowackiego) i radości miała z tego biegania co niemiara. Teraz pokazani mi studenci gna do Rozmaitości, a ponieważ tu rzecz jest raczej poważna, działo się dowodzi i zaśmiewa się w dowolnie wybranych momentach. A to nie z winy samej działy, ani, broń Boże, aktorów. Dzieje się tak i działo będzie dotąd, dokąd teatry stosować będą politykę organizowania publiczności rozumianą jako wyprzedawanie na wiele miesięcy naprzód całej widowni szkoły lub przedszkola. Niechże dzieci chodzą do teatru, ale nie wszystkie naraz, nie całą czeredą, niech przemierzają się z dorosłymi widzami. Będzie to z korzyścią dla wszystkich.

Reżyser „Balladyny” w Teatrze Rozmaitości – Andrzej Maria Marczewski, podobnie jak niegdyś Hanuszkiewicz, nie zaufał Słowackiemu. Nie wierzył, że sam tekst owej dramatycznej opowieści z pogranicza świata realnego i baśniowego jest tekstem żywym, że może przyciągnąć i utrzymać uwagę współczesnego widza zdeprawowanego cywilizacją. Hanuszkiewicz usiłował ratować „Balladynę” hondami, Marczewski między innymi siatkami rozpiętymi nad głowami widzów. Wydawać by się mogło, że po Goplanie, Skierce i Chochliku na ryczących motocyklach, niewiele nas już może zaskoczyć, niewiele już tryskający pomysłami inscenizator może w „Balladynie” zwojować, by dzisiejsza publiczność uwierzyła choć na krótką teatralną chwilę w niematerialne zjawy pana Słowackiego.

Tymczasem – może. Otóż winny one płasnąć właśnie na rozwieszonych ponad głowami publiczności siatkach. I – o dziwo – tym razem „pomysł” nie razi. Więcej nawet, sprawdza się w ciągu przedstawienia wielokrotnie, pozwala na brawurowe rozebranie scen Goplany, stwarza podwójny plan akcji, podwójny świat.

To jednak nie wszystkie reżyserskie zabiegi. Andrzej Maria Marczewski przepowiada katastrofę. Ma obsesję kataklizmu. Po apokaliptycznej wizji w finale „Dwóch teatrów”, apokaliptyczny kataklizm rozpoczyna przedstawienie „Balladyny”. Ruiny i zgłiszczą, oprawcy i ofiary, świat żyje od kataklizmu do kataklizmu, a w przerwach ludzie zabijają się w walce o władzę. Pantomimiczno-muzyczny prolog spektaklu ma się nijak do treści przedstawienia, albo raczej – paralele są mocno naciągane. Zautomatyzowani

oprawcy się zniszczeniu i cierpieniu, ofiary bezradnie czołgają się po ziemi. Chodziło zapewne o zobrazowanie zła panoszącego się w naszym świecie, także więc w świecie „Balladyny”. Niesłusznie. Zło tkwi w ludzkich sercach. I tak pokazane – oddziaływanie najsilniej, jest najgroźniejsze.

Nie zaufał Słowackiemu scenograf Jerzy Michalak, umieszczając akcję na zapleczu sklepu spożywczego, w obskurnym składzie drewnianych skrzynek. Przestrzeń sceniczną ograniczają sterty brudnych, białych desek, na brudno-burym tle. Jest jeszcze w przedstawieniu ruchoma ściana, podnosząca się i opadająca wielokrotnie, by zmienić – zależnie od kąta nachylenia – las w chatę, chatę w pałac. Szkoda, że ten interesujący pomysł nie został konsekwentnie wykorzystany, bowiem właściwie chata Wdowy niewiele różni się od pałacowych komnat.

Zaufali natomiast „Balladynie” aktorzy. Przygotowano dwie obsady. Widziałam Barbarę Dembińską (Balladynę), Annę Lenartowicz (Alinę), Barbarę Rachwałską (Wdowę), Wojciecha Pastuszko (Kirkora), Jerzego Mazura (Kostryn), Jana Jurewicza (Grabiec), Tadeusza Grabowskiego (Pustelnik), Małgorzatę Ząbkowską (Goplanę), Józefa Fryźlewicza (Kancierz). Mam ochotę wymienić cały zespół, gdyż cały zasługuje na słowa uznania. Rzecz by można – przedstawienie opiera się na dobrej aktorskiej robocie. W swej prostocie jest niemal ascetyczna, ma swój nieodparty urok. Nie byłoby tej „Balladyny” bez Balladyny. Otóż w Teatrze Rozmaitości jest Balladyna, Balladyna, w której oczach palą się piekielne iskierki. Balladyna wielka i władczą, o sercu kamiennym i stalowych nerwach. Balladyna – mały człowiek opętany przez zło. Barbara Dembińska doskonale radzi sobie z arcytrudną rolą, na której rozkładały się znakomite aktorki. Jest piękna i zimna, odrażająca w swej obojętnej nienawiści, ludzka w swym strachu, w swej podłości.

Po tylu krytycznych uwagach i zastrzeżeniach dojdź zatem wypada do wniosku, iż w Rozmaitościach po prologu zaczyna się bardzo dobre przedstawienie, mimo scenografii, mimo inscenizatorskich potknięć. Marczewski ma wycucie teatralności, potrafi kreować urzekające wizje (jak choćby scena uczty), umiejętnie operuje światłem, muzyką. Umie stwarzać nastroj. Gorzej, gdy zaczyna dopisywać swój dramat.

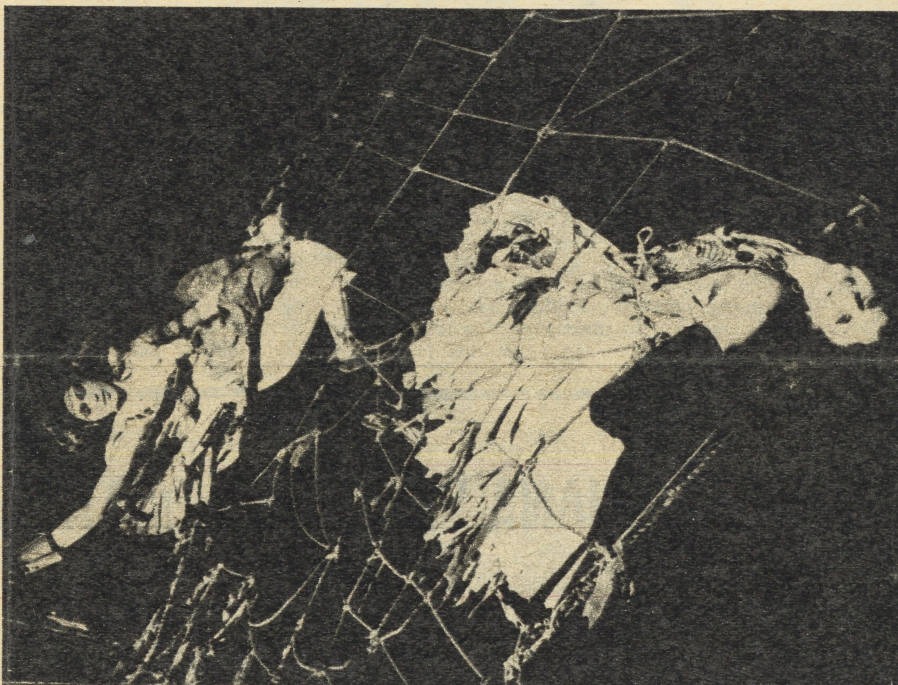
Muszę być jednak niekonsekwentna. Moja własna ortodoksja obraca się przeciw mnie. Bowiem kończy się „Balladyna” inaczej niż u Słowackiego, i jest to zakończenie wstrząsające. Balladyna nie umiera. Nie strzela grom. Balladyna wydaje na siebie trzy wyroki śmierci. I pozostaje przy życiu równie niewzruszona jak wtedy, gdy popełniła zbrodnię. Zło nie zostaje ukarane, króluje nadal. Jest wokół nas, może i w naszych sercach.

Teatr Rozmaitości: BALLADYNA Juliusza Słowackiego, inscenizacja i reżyseria – Andrzej Maria Marczewski, współpraca reżyserska i plastyka ruchu scenicznego – Jerzy Stępiak, scenografia – Jerzy Michalak, muzyka – Tadeusz Woźniak



Tadeusz Grabowski (Pustelnik) i Barbara Dembińska (Balladyna)

Jadwiga Andrzejewska (Skierka) i Małgorzata Ząbkowska (Gopłana)



Scena uczty. Na pierwszym planie: Wojciech Osełko (Chochlik) i Jadwiga Andrzejewska (Skierka)

